

Światłość i życie w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza

Hermana Heggera



W dzieciństwie często słyszałem, że najlepszy sposób na uniknięcie piekła to życie w klasztorze. Postanowiłem zastosować się do tej rady.

Klasztorne wysiłki

Życie klasztorne ma kształtować siłę woli i uczyć panowania nad namiętnościami i pożądliwością. W moim klasztorze stosowało się po temu różne tortury cielesne. Kilka razy w tygodniu biczowaliśmy się okładając nagie ciało guzełkowatymi sznurami. Mówiono nam, że gdy dzielnie tę bolesną praktykę zniesiemy, będziemy umieli oprzeć się wszelkiej żądzy zmysłowej i płciowej. Słyszeliśmy też, że biczując się można czynić przebłaganie za popełnione grzechy, skracając sobie pobyt w czyścicu. Wokół pasa, ud i ramion zakładaliśmy łańcuchy pokutne z kolcami wbijającymi się w ciało. Stosowaliśmy też rozliczne inne sposoby „cielesnych umartwień”.

Obok cierpień zadawanych sobie samodzielnie stosowaliśmy też inne upokarzenia, mające zdusić w nas dumę i próżność. Podczas jednego z takich ćwiczeń dany kapłan musiał leżeć płasko na progu, tak aby inni przechodząc tamtędy deptali po nim. Ilekroć kapłanem tym byłem ja, czułem się jak robak pod stopami ludzi, sądziłem jednak, że Bogu na pewno bardzo podoba się moje dobrowolne upokorzenie.

Do najgorszych upokorzeń należało lizanie do czysta posadzki. Czułem się jak zwierzę - świnia ryjąca w błocie, węszący pies, a czasem nawet jak owad pełzający w prochu ziemi.

Zadne jednak umartwienia i poniżenia nie polepszały mego charakteru i zachowania. Przeciwnie: odkryłem, iż słaba, grzeszna natura miewa się

nader dobrze. Najsilniejsze poczucie próżności i pychy nachodziło mnie właśnie wtedy, gdy lizałem posadzkę. „Ależ z ciebie wspaniały gość” - myślałem sobie. „Jaką ty masz silną wolę! Odważyć się na takie poniżenie! Coś niesamowitego!” Spostrzegłem, że wskutek absurdalnych praktyk moja pycha tylko rośnie. Klasztor to świątobliwe wysiłki z góry skazane na niepowodzenie. Dlaczego? Bo kapłan czy zakonnik zabiera do celi także swą grzeszną naturę.

Dosięgnąć Boga przez mistycyzm

Podczas nowicjatu oprócz prób ujarzmiania cielesnych namiętności przez ascetyzm oddawaliśmy się praktyce modlitwy. Nazywało się to kultywowaniem życia duchowego, wewnętrznego i miało służyć uintensywnianiu naszego kontaktu z Bogiem, Jezusem Chrystusem i Maryją. Najwyższym naszym celem był prawdziwy mistycyzm.

Lecz nie zakosztowałem wtedy ani krzty mistycyzmu; uważałem więc modlitwę za zadanie bardzo trudne. Zapoznano nas z kilkoma sposobami właściwej medytacji. Wieczorami czytano nam głośno pobożne rozważania o męce Pańskiej różnych autorów. Mieliśmy zadawać pytania w rodzaju: Kto cierpi? Jak cierpi? Dlaczego? Za kogo? Odpowiedzi miały w nas wzbudzić akt żalu za grzechy i akty wiary, nadziei i miłości oraz skłaniać nas do postanowień o poprawie życia.

Zwykle bardzo prędko udzielałem odpowiedzi na te pytania, więc zostawało sporo czasu na rozmyślanie o innych rzeczach. Zresztą poziom rozważań tych rzymskokatolickich autorów na temat cierpień Chrystusa wydał mi się dość mizerny; koloryzowali oni i urabiali te refleksje podług własnych emocji. I nigdy nie zdołali zająć nimi głębiej mojej uwagi.

W 1940 roku przyszło mi raz do głowy: A gdyby zajrzeć do Biblii? Są tam przecież myśli nie ludzi, ale samego Boga. Klasztorne przepisy nakazywały jednak słuchać tego, co czytano podczas medytacji; Biblię można było przy takich okazjach czytać tylko za specjalnym pozwoleniem. Pozwolenia tego mi udzielono.

Doraźny pożytek z Biblii

I wszystko się zmieniło. Czas medytacji przestał być czasem nudy; polubiłem go! Uszczęśliwiała mnie myśl, że stykam się z nieomylnym Słowem Bożym, że stoję na ziemi świętej. Z radością rozmyślałem o

tekście biblijnym; odwracałem jego karty, drżąc przed płomiennym obliczem Boga, jakie tam odnajdowałem. Do głębi wzruszała mnie miłość Ojca, który zechciał się ku mnie w tych słowach pochylić. Szczególnie upodobałem sobie rozważań tekstu o męce Pańskiej. Każde zdanie odkrywało wielkość duszy cierpiącego Jezusa. Stał On przede mną w całej swej chwale, w swym miłosierdziu, czystości i pokoju.

Jezus przestał być chłodną koncepcją intelektualną, przestał też być zniewieściałą kukłą bez charakteru, jaką od lat oglądałem na obrazach. Między Nim a mną zaistniała więź, braterstwo dusz. Ale jeszcze nie bliska więź dwóch osób. Ta bowiem miała zrodzić się później, gdy poprzez nieskażoną Ewangelię poznałem Jezusa jako mego jedyne, doskonałego Zbawcę.

Brak pewności zbawienia i próby dotarcia do Maryi

Na przeszkodzie do tego typu osobistego związku stoi doktryna o możliwości utraty łaski. Choć oddałem się w pełni rozważaniom o Trójjedynym Bogu, o Jezusie Chrystusie, to nie wiedzieć skąd uderzała mnie myśl: Ten Bóg, ten Jezus Chrystus, z którym jak twierdzisz, masz bliską więź, może odrzucić cię pewnego dnia, mówiąc: „Precz, duszo przeklęta, w ogień wieczny!” Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że wskutek moich grzechoga, na potępienie takie zasługuję.

Ważnie ta obawa: że Bóg i ja moglibyśmy siebie znienawidzić na wieki, psuła moją z Nim więź.

Kolejną przeszkodą w doświadczaniu doskonałej miłości Chrystusa był kult Maryi. Według doktryny rzymskiej oddanie się Maryi to najlepszy sposób wykształcenia w sobie wytrwałości. Dziecko Maryi nigdy nie dozna zguby. Przekonanie to wpajano nam nieustannie z ambony, dowodząc, że kto nie jest dzieckiem Maryi, mocno ryzykuje wieczne potępienie.

Pomimo wielkich "Tsiłków" nie zdołałem wskrzesić w sobie głębszego uczucia do Maryi. Pozostawała dla mnie stworzeniem, kobietą, choć wywyższoną i błogosławioną wśród niewiast. Nie dostrzegałem w niej nic boskiego. Nie udało mi się umiejscowić jej w moim życiu; moje modlitwy do niej nigdy nie były nie potrafiłem też „zanurzyć się” w niej. Ow brak szczerzego oddania się Maryi bardzo mnie trapił.

Kiedy na medytacji oddawałem się całym sercem rozmyślaniom o Jezusie Chrystusie, przychodziło mi do głowy, że za rzadko modłę się do Maryi. Z lęku, bym pewnego dnia nie został na zawsze oddzielony od Jezusa, zwracałem się przerażony do tej łask pośredniczki, błagając, aby wybawiła mnie od wiecznego potępienia. Gdy zaś dochodziłem do wniosku, że poświęciłem jej już dość uwagi, powracałem do Chrystusa, do Tego, który objawił mi Siebie w świętym Słowie Bożym.

Bardzo się starałem odkryć w Maryi coś boskiego. Pomyślałem, że trzeba widzieć w niej odwieczną, bierną pierwotną podstawę wszechrzeczy, pierwiastek żeński, chłonny, płodny, widoczny w całym stworzeniu, w odróżnieniu od zasady męskiej, aktywnej, twórczej. Liczyłem, że zdołam nawiązać swoisty mistyczny kontakt z Maryją, co ułatwi mi modlitwy do niej. Poszukiwania w tym kierunku wrzuciły mnie jednak w ocean pogaństwa.

Największy problem: Rzym chce mieć ostatnie słowo

Inną przeszkodą w bliskiej więzi z Jezusem była nauka nadająca orzeczeniom Rzymu status najwyższego, ostatecznego źródła poznania objawienia Bożego. Jak by na nią nie spojrzeć, nauka ta czyni ze Słowa Bożego drugorzędną publikację. Nie zmieniają tego papieskie apele do wiernych o częste sięganie do Biblii; katolik nie odda się w pełni jej rozważaniu. Z „głębszym sensem” Słowa, który w jego przekonaniu należy wyłuskać, wiąże się zawsze szereg pytań. Jeśli kościół wygłosił na dany temat jakieś orzeczenia, swą opinię o sensie fragmentu katolik musi odłożyć na bok i dostosować się do nauki kościoła. Logicznie więc pod rozwagę należałoby dać mu nie Biblię, ale wypowiedzi papieży i soborów; sęk jednak w tym, iż często brzmią one abstrakcyjnie i scholastycznie. Suche schematy doktrynalne nie mogą się równać z żywym Słowem Bożym.

Poza tym choć swpowiedzi te mają status nieomylnych, to nie są przecież Słowem Boga - co zresztą przyznaje i Rzym. Choć według Rzymu Bóg przez Ducha Świętego zadbał oto, by nie zawierały one błędu, są to twierdzenia ludzkie! Brak im siły oddziaływania charakterystycznej dla Biblii, bo to nie bezpośrednio sam Bóg przemawia w nich do człowieka. Pozostają więc, nawet dla Rzymu, tylko interpretacją Słowa. Nie są dodatkami do Pisma Świętego ani dalszym ciągiem Biblii.

Kościół katolicki mozoli się zatem w okolicznościach, gdzie poselstwa Biblii nie jest się pewnym, a orzeczeniom kościoła brak życia. Wzywa swych członków do czytania Biblii, choć lektura ta i tak do niczego nie prowadzi - Biblii bowiem nigdy nie przyznano tu centralnej, niepowtarzalnej roli, jaką cieszy się ona wśród chrześcijan opierających na niej życie. Ciągłe zachęty mogą wprawdzie zrodzić czasowy wzrost zainteresowania Biblią wśród katolików, nie utrzyma się on jednak na dłuższą metę. Któż bowiem zawracałby sobie głowę czytaniem drugorzędnych źródeł, co do którego nie można mieć żadnej pewności, i oddawał się temu co dzień rok po roku? Poza tym z lekturą Biblii wiąże się ryzyko zwątpienia w nauki kościoła, a to już grzech śmiertelny, zagrożony wiecznym zatraceniem.

Wszystkie te przeszkody znalazły odpowiedź i kres w biblijnej nauce o zbawieniu „tylko łaską” i „tylko przez wiarę” na podstawie autorytetu „tylko Biblii”. Tak głosiła Reformacja. Dlatego nauczanie Reformatorów może w sposób idealny zrodzić przebudzenie w duszy człowieka. „Tylko wiara”. Człowiek może być zbawiony tylko przez wiarę - wiarę w Jezusa Chrystusa jako Zbawcę.

Prawdziwa więź duchowa

Istota więzi człowieka z Bogiem tkwi w zależności od Kogoś Zupełnie Innego. To więź między dwiema osobami; nie zrodzą jej poszukiwania w ramach świata przyrody, mimo że poza światem zmieniających się zjawisk można dostrzec Tego, Który Jest Zupełnie Inny. Naturalista widzi fałdy przepięknej Bożej szaty i może wskazać na odciski Bożych palców w przyrodzie. Może nawet osiągnąć pewną ekstazę, uciec od wąskich ograniczeń swego ja, przedrzeć się poza przytłaczające formy ziemskie do sfery niezniszczalnej, kryjącej się poza tym światem. Mogą mu zostać ukazane pejzaże dobroci, prawdy i piękna; lecz nigdy nie pojmie on istoty prawdziwej, osobistej więzi z Bogiem. Naturalista - choć w teorii wierzy w istnienie osobowego Boga, Stwórcy wszechświata, który nie jest tożsamy ze światem, ale odrębny od niego - nie zazna prawdziwej jedności z Bogiem, niezakłóconej więzi z żywym Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, Ojcem naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Istota prawdziwej jedności tkwi nie tylko w uczuciu zależności od Stwórcy: chodzi przede wszystkim o świadomość zależności od łaski Bożej dopiero znajdę pełnię jedności z Bogiem. Wiedząc, że Ktoś mnie stworzył, wznoszę ręce do niebios, spragniony światłości Bożej o przecudownych barwach. Padam na kolana w czci dla Majestatu Przedwiecznego i Nieskończonego, odczuwam wewnętrzny pociąg ku Wiekuistemu i Ponadczasowemu. Jako li tylko stworzenie, nie czuję jednak wcale obejmujących mnie ramion Ojca; toteż wcześniej czy później zacznę doznawać trwożliwego łomotu serca, przeczuwając pustkę, nad którą stoję. W takim położeniu duszę przeraża potworność otchłani rozciągającej się w dół.

Człowiek z taką świadomością, typową dla stworzenia, nieraz długo nie domyśla się swej grzeszności. Nie pojmuje, że światło migoczące w jego duszy to tylko refleksy Bożej Światłości, połyskiwanie Bożej szaty. Poselstwo głoszące konieczność „tylko wiary” daje natomiast duszy doskonały pokój, zarówno przy spojrzeniu ku górze, jak i przy spojrzeniu w dół. Według tego poselstwa zbawienie człowieka pochodzi tylko z wiary i opiera się na Jezusie Chrystusie: na jego zastępczej ofierze i zmartwychwstaniu. Zaufanie Jezusowi jest zatem kwestią z kategorii: być albo nie być.

Być albo nie być

Moje zbawienie opiera się na ufności w Nim złożonej, Wiara ta przejmuję mnie do głębi, dotykając najintymniejszych obszarów jaźni, dając siłę, kierując całą osobę w jedną tylko stronę: ku Jezusowi. Nie jest to wcale proces przykry - bo wiara zwracając się ku miłości Jezusa doznaje pociechy. Znika strach przed spojrzeniem w dół, gdyż wiem, że zbawiła mnie nie wiara w szczerość mej wiary, lecz wiara w Jezusa. Można rzec, że dusza zostaje "zwolona od siebie samej: nie jest już uwięziona w sobie i może odpocząć w błogiej znajomości swego Zbawcy. Taka oto wiara prowadzi do tego, co wielu chciałoby znaleźć w mistycyzmie: do prawdziwej jedności z Bogiem.

„Tyłko łaska” - człowiek zostaje zbawiony tylko łaską. Nie może zapracować sobie na niebo - zbawia go wierność Boga. „A ja żywot wieczny dam im i nie zginą na wieki, ani ich żaden wydrze z ręki mojej” (J 10,28). Dzięki tym obietnicom Zbawcy człowiek wie, że znalazł się w nieskończone bezpiecznych ramionach Pasterza. Wie, że nigdy nie

odpadnie od łaski Bożej, gdyż sam Bóg zadba o to, by wytrwał. Bóg nie zaniedbuje swych dzieł. Nic nie może już zakłócić miłości, lęk przed piekłem nie zaćmi jej blasku, nie zgasi jej światła.

„Tyłko Biblia” - tylko Biblia jest zapisem objawienia Bożego, w którym Bóg ukazał Siebie człowiekowi czarno na białym, w formie zawsze możliwej do dowolnego przeglądania. To dar Boga dla człowieka, który Boga poszukuje.

Nie mogą sobie do takiego kogoś rościć praw tradycje ludzkie. To prawda, że we wspólnocie świętych - kościele od wieków spajającym ich w służbie Bożej - wierzący otrzyma wiele rzeczy pomocnych w głębszym rozumieniu Słowa Bożego. Ale Pismo Święte na zawsze pozostanie ostatecznym sądem apelacyjnym, probierzem prawdziwości każdej nauki. Dlatego wierzący zagłębia się w Biblii, słucha jej poselstwa, modli się o światło Ducha - i słyszy, co żywy Bóg ma mu do powiedzenia, napełniając swą duszę bojaźnią, dobrocią i radością.

Awans i zwątpienie

Po siedmiu latach posługi powierzono mi stanowisko wykładowcy filozofii w pewnym seminarium rzymskokatolickim w Brazylii. Już wtedy dręczyły mnie poważne wątpliwości.

Co robiłem z tymi wątpliwościami? Nigdy się z nimi nie patyczkowałenn. Nie zamierzałem rozważać możliwości, iż nauczanie mojego kościoła mogłoby być błędne. Gdybym bowiem choć przez chwilę założył możliwość błędu w doktrynie kościoła, byłbym według Rzymu winny grzechu śmiertelnego.

Bezwzględny zakaz wątpienia i podważania nauk Rzymu to źródło wielkiej siły tego kościoła. Protestanci dziwią się, że katolicy uczeni, studiując Pismo, nie pojmują jednak istoty Ewangelii. Lecz umysł katolika nie jest umysłem wolnym: każde odejście od Rzymu jest zagrożone ogniem nieugaszonym. Jeśli choć przez moment zechce on uczciwie rozważyć, czy nauka Reformatorów o Biblii nie jest czasem słuszna, otwiera się u jego stóp otchłań potępieńców. Katolik nie wątpi, że w tej samej chwili Bóg jest gotów zawołać: „Precz ode Mnie, przeklęty!

Powtarzano nam, że nie trzeba się bać, jeśli takie wątpiwości nawiedzą duszę. Nieraz omawiałem je z moim kierownikiem duchowym, który niezłomnie udzielał mi tej rady: „Wątpiwości nie są powodem, dla

którego miałbyś rezygnować z kapłaństwa". Według kościoła katolickiego pokonując zwątpienie „sługujemy sobie wyższą pozycję w niebie. W takich” padkach radzono nam odmówić krótką modlitwę i myśleć o czym innym, a dopiero potem, gdy wątpliwość zelżeje, zająć się jej analizą. Uczono nas też, że teza o niewykluczonej racji protestantów może pochodzić tylko od diabła.

Wątpliwości tomistyczne i autentyczne

Choć zabraniano nam rozważać jakiegokolwiek wątpliwości co do nauki kościoła, to nieraz w celach dydaktycznych zezwalano na wątpliwości natury metodologicznej. Podejście to usystematyzował Tomasz z Akwinu w swej *Summa Theologica*. Polega ono na doraźnym uznaniu słuszności poglądu przeciwnego, aby lepiej go zrozumieć i móc tym skuteczniej obalić. Stosuje się je w dysputach z niekatolikami. Katolik może wtedy udawać, że dopuszcza słuszność stanowiska oponenta, lecz faktyczne uznanie tej słuszności nie wchodzi w rachubę.

Pierwszą mą funkcją kapłańską było codzienne odprawianie mszy. Gdy wedle polecenia Rzymu szeptałem słowa konsekracji, substancja chleba i wina miała się stawać Ciałem i Krwią Pana. Co dzień taki cud w mych rękach! Ale doktryna o Przeistoczeniu jakoś nigdy mnie nie fascynowała. Bez zapału klękałem przed przedmiotami, wzdragałem się przed modlitwą do hostii. Zamykanie Boga w chlebie i winie gwałciło me najgłębsze uczucia religijne; nie umiałem wznosić duszy ku Bogu, który skrył się pod postacią nieożywionych przedmiotów. Nie umiałem też wzbudzić w sobie zachwyty dla chwały Zbawiciela, który miał być obecny w spożywanej przeze mnie hostii.

Autorzy rzymskokatolicki zdają sobie sprawę z tej trudności. Nigdy na przykład nie piszą o „Jezusie w żołądku”, ale o „Jezusie, który spoczywa na sercu”. Chcąc nie chcąc zatem alegoryzują oni formułę: „To JEST Ciało Moje”!

Lecz po prawdzie - jaki jest cel Przeistoczenia? Jaką wartość ma dla mnie fakt, że w moim żołądku znajdzie się Jezus w postaci chleba i wina? Przecież tak naprawdę liczy się moja żywa więź ze Zbawcą. Co za pożytek z Jego rzekomej cielesnej obecności w tych substancjach? Tyłko odciągają one mą uwagę od chwały Odkupiciela! Jezus objawia mi się przez Słowo i Ducha. Ufam Temu, Który objawia mi się w swojej Ewangelii.

Obecność fizyczna czy duchowa?

Nauka o magicznej obecności Jezusa po Przeistoczeniu napawała mnie lękiem; była jak ogień, co parzy, a nie płomień, co ogrzewa. Nie było tu miejsca na miłość, nie umiałem zwracać się do takiego Jezusa. Wystękiwałem obowiązkowe dziękczynienie; lecz przerażał mnie chaos w mych rnyślach i swobraźni. Potem często trawiło mnie uczucie dojmującej pustki.

Inny szkopuł stanowiła natura teorii Przeistoczenia. Według Rzymu to w istocie nie Jezus zstępuje w swym ciele i duszy na ołtarz - Jezus bowiem pozostaje w niebie. To substancje chleba i wina zmieniają się w substancje Ciała i Krwi Chrystusa. Z trudem przychodziło mi zwracać się do tak wykoncypowanej obecności Jezusa; nie potrafiłem modlić się, jak należy, gdyż niełatwo mi było dopatrzeć się tu Jego faktycznej obecności.

Większość teologów protestanckich uznaje faktyczną obecność Jezusa podczas Wieczery Pańskiej, ale pojmują ją oni na sposób duchowy, nie usiłując rozdzierać tajemnicy za pomocą beznamiętnego rozumowania. Uznają, iż podczas obchodzenia Pamiątki Jezus jest obecny, aby poprzez znaki chleba i wina upewnić nas o swej wiekuistej wierności i miłości. Dlatego Jego święta Wieczerza nie przeraża obecnością Boskiego majestatu, ale napełnia uczestników niewypowiedzianym pokojem.

Druga funkcja - dalsze wątpliwości

Drugą funkcją powierzoną mi jako księdzu było sprawowanie sakramentu pokuty. W strukturze władzy Rzymu spowiedź to strategiczny fundament, wyraz podporządkowania osoby świeckiej duchownemu. Ksiądz w konfesjonale zajmuje miejsce analogiczne do tronu sędziowskiego. Penitent swznaje swe słabości, tajemnice, których nie powierzyłby nikomu; i od księdza zależy, czy odejdzie z rozgrzeszeniem. To ksiądz podejmuje decyzję oscylującą między niebem a piekłem.

Nie będę tu przytaczał argumentacji biblijnej, jaką kościół rzymski uzasadnia praktykę spowiedzi dousznej. Zapytam tylko: Czy na tym ma polegać „wolność i chwała dzieci Bożych”? Czy to jest właśnie błogosławieństwo zbawienia, które z chwalebnią radością opiewa Biblia? Czy to jest ów pokój, który zwiastowano nad betlejemskimi polami? Czy znajdujemy tu coś z wizerunku Dobrego Pasterza, który wyrusza na

poszukiwanie zabłąkanych na pustkowiu owiec i na ramionach niesie je z powrotem do owczarni? Czy poprzez spowiedź owce nie są raczej przywoływane do porządku kopniakami i odstawiane do „owczarni” pod groźbą wiecznego potępienia?

Prawdziwa spowiedź przed obliczem Boga

Dobrze jest, gdy wierzący, przygnieciony brzemieniem winy, pragnie wyznać grzechy Bogu. Nieraz dobrze jest też wyznać je osobie godnej zaufania. Może to podnieść na duchu, przynieść pociechę. Człowiek czasem tak zadręcza się swym grzechem, iż trudno mu uwierzyć, że mógłby on zostać odpuszczony. Wie co prawda, że według Biblii miłosierdzie i przebaczenie Jezusa nie mają granic; ale pokrzepi go potwierdzenie z ust innego wierzącego, duszpasterza bądź nie, słowami: „Chrystus umarł też i za twoje grzechy”. Mamy tu jednak do czynienia z całkiem inną spowiedzią i odpuszczeniem grzechów niż w kościele katolickim. Rzadko zdarzało mi się spotkać w konfesjonale kogoś, kto przyszedł, gdyż odczuwał w sercu taką potrzebę. Przychodzili, bo musieli. To uciążliwy obowiązek, którego trzeba przestrzegać, chcąc uniknąć piekła.

Od prawdy trudno uciec

Nieraz czytając Biblię zapytywałem siebie: „Czy to, co mój kościół robi, zgadza się z tą Księgą?” W Biblii powiedziano jasno, że jest tylko jeden pośrednik między Bogiem a człowiekiem: Jezus Chrystus, który na Golgocie poniósł na krzyżu karę za grzech; lecz mój kościół głosił, że pośredników jest wielu, a największą z nich Maryja, „pośredniczka wszelkich łask”. Zacząłem też rozmyślać, czy Bóg naprawdę obdarzył papieża nieomylnym autorytetem i mocą interpretacji Biblii i czy naprawdę każdy wierzący ma obowiązek uznawać poglądy papieża. Czy to w ogóle w porządku, aby papież miał władzę unieważniać i reinterpretować proste słowa Pisma Świętego?

Strach paraliżuje myśli, obezwładnia rozsądek. Umysł nie działa normalnie, gdy wisi nad nim groźba grzechu śmiertelnego i piekła, gdy wizja ognia wiecznego zmusza do określonych wniosków. Krytycznie rzecz biorąc, wnioski wyciągane w takich warunkach nie są wiarygodne. Robiłem, co mogłem, ale nijak nie mogłem w pełni przekonać siebie o

prawdziwości nauk Rzymu. Mogłem im co najwyżej przypisać jakieś prawdopodobieństwo prawdziwości, nic więcej; twierdząc inaczej, mamiałbym sam siebie. Podświadomość nie umiała już dłużej narzucać mej rozumowej niepewności irracjonalnych przekonań; przejrzałem jej działanie. Sumienie zarzucało mi, że okłamuję sam siebie; skoro tak, nie mogłem dłużej zwać się rzymskim katolikiem. Wykluczała to doktryna mojego kościoła.

W podręczniku *Theologia Moralis Aertnica Damena* (XII, 323) przeczytałem, że kto uparcie poddaje w wątpliwość prawdy wiary, jest skończonym heretykiem, który wiarę utracił. Wedle maksymy: *Dubius in fide infidelis est* (wątpiący w wierze jest niewiernym) nie byłem już prawdziwym wierzącym; byłem bowiem pewien tylko jednego: że argumenty kościoła mające dowodzić objawienia Bożego gwarantują co najwyżej prawdopodobieństwo. Ta pewność nie płynęła wcale ze zbuntowanego serca czy pychy; była Cyłko kwestią uczciwości wobec samego siebie. Stałem przed wyborem: mogłem pozostać katolikiem i resztę życia spędzić jako kłamca bądź też dochować wierności swym najgłębszym przekonaniom i opuścić kościół. Wybrałem to drugie. Za Lutrem mógłbym rzec: „Tak oto stoję. Inaczej postąpić nie mogę”.

Na piasku

Straszliwa to była chwila, gdy z całą uczciwością poczułem się zmuszony odmówić intelektualnego posłuszeństwa doktrynalnym wyrokom Rzymu. Kościół katolicki był mi podporą, skałą, na której budowałem poglądy - teraz spostrzegłem, że wzniosłem dom na piasku. Fale uczciwej autorefleksji wymyły piach spod fundamentów, dom runął, a mnie uniosły wody rozpaczy. Nie widziałem niczego, czego mógłbym się uchwycić. Sam musiałem radzić sobie z gąszczem światopoglądów.

Pełen tych wątpliwości nie mogłem oczywiście dalej być kapłanem; skończyło się klasztorne umieranie żywem. Porzuciłem żywot odbić i cieni na rzecz świata frapującej namacalności, gdzie wreszcie mogłem głębiej odetchnąć. Zrezygnowałem z funkcji wykładowcy, opuściłem kościół katolicki. Zdjąłem sutannę, która w tropikalnej Brazylii nasiąkała gorącem; mogłem poruszać się lekko, swobodnie, w zwykłej koszuli. Lecz w głębi duszy uginałem się pod wyrzutami sumienia.

Zbawiony tylko łaską, przez wiarę

Na pozór byłem wolny, ale w duszy nie miałem pokoju, całkiem straciwszy z oczu Boga. Dużą pomoc okazał mi jeden kościół ewangelikalny z Rio de Janeiro; życzliwość jego członków, opierających wiarę tylko na Biblii, bardzo mi pomogła. To od nich otrzymałem zwykłą odzież, gdy nie miałem pieniędzy na nic. Karmili mnie, dali dach nad głową; nigdy im tego nie zapomnę. Przede wszystkim jednak ujęło mnie nauczanie ich pastora. Takie spojrzenie na Biblię było nowością

Ale na jaką właściwie pomoc mógłbym liczyć ze strony kaznodziei niekatolika? W seminarium i już jako ksiądz często słyszałem o fałszywości nauk kościołów takich jak ten, nigdy jednak nie wiedziałem, czego faktycznie one nauczają.

W Rio de Janeiro usłyszałem, że nie mogę zbawić się sam ani czymkolwiek wysłużyć sobie nieba, bo jestem kompletnie zgubiony, bez nadziei. Mogłem się pod tym szczerze podpisać, bo aż nazbyt często dane mi było przekonywać się o swej niezdolności do zmiany. Mimo wielkich wysiłków i wszelakich umartwień nie zdołałem się stać innym człowiekiem.

Kaznodzieja posunął się jeszcze dalej, pokazując, że jest tylko jeden sposób uwolnienia od grzechu: przyjąć od Boga w pełni darmowe przebaczenie i nowe życie. Ukazał, że doświadczenie to jest darem Jezusa Chrystusa, który ofiaruje je każdemu, kto odda Mu siebie z pełną ufnością w Jego doskonałą ofiarę.

Światło i życie

Zrazu nie mogłem tego przyjąć. Jak bajka: zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Dostrzegałem całe piękno oddania się Chrystusowi; brzmiało to cudownie, wspaniale - ale za łatwo, za tanio. Dla katolika zbawienie było najtrudniejszą rzeczą na świecie, plonem nieustannych zmagania, wysłużenia sobie Bożej życzliwości. Ale w końcu zacząłem rozumieć przesłanie Biblii. Owszem, zbawienie to najtrudniejsza rzecz na świecie, bo można na nie zasłużyć tylko idealnym przestrzeganiem wszystkich wymogów Prawa Bożego, czyli całkowitą bezgrzesznością. Drugą jednak prawdą, cudowną prawdą jest fakt, że Pan Jezus Chrystus, Syn Boży, wypełnił wszystkie te za nas, w naszym imieniu - nam pozostaje tylko Mu zaufać.

„A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie. Którego Bóg wystawił ubłaganiem przez wiarę we krwi jego, ku okazaniu sprawiedliwości swojej przez odpuszczenie przedtem popełnionych grzechów w cierpliwości Bożej, Ku okazaniu sprawiedliwości swojej w teraźniejszym czasie, na to, aby on był sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej” (Rz 3,24-26).

Nastąpił wreszcie cudowny przełom. Dusza otworzyła się przed Chrystusem w bezbrzeżnej ufności. Pojąłem, że to nie Żydzi Go ukrzyżowali - że uczyniłem to ja sam. Moje grzechy zostały poniesione przez Niego. Oślepiająca jasność padła na stertę śmieci, jaką było moje dotychczasowe życie.

Moja dusza leżała przede mną jak zbombardowane miasto, ja zaś cierpiałem z bólu na widok grzechu, który wypełniał całą moją istotę. Tkwiąc jednak nad całą stertą śmieci uświadomiłem sobie, że Chrystus mi odpuścił i że uczynił mnie prawdziwym wierzącym. Stałem się nowym stworzeniem.

Opisując Swoją więź z prawdziwym chrześcijaninem Jezus powiedział: „Jam jest on pasterz dobry i znam moje, a moje mię też znają” (J 10,14). Rozpocząłem nowe życie, zaznawszy w końcu bliskości Boga, której nie mogłem zaznać wcześniej, jako katolicki ksiądz. Martwy legalizm kościoła rzymskiego pozostawiłem za sobą, przede mną zaś czekała żywa, osobista więź z naszym cudownym Bogiem.

Herman Hegger, nawrócony ksiądz



Holender Herman Hegger, zbawiony łaską Bożą w Brazylii, zdążył po swoim nawróceniu napisać już 25 książek. Jego organizacja misyjna, o nazwie „In de Rechte Straat” („Na ulicę Prosta”;), wytrwale świadczy o prawdzie biblijnej, będąc zarazem źródłem informacji o katolicyzmie. Herman był wielką zachętą przy tworzeniu tej książki, kontaktując nas ponadto z wieloma byłymi księżmi, którzy zostali zbawieni łaską.

W 1996 roku Herman Hegger wydał dwie książki: „God's Commandment Is Love” („Bóg nakazał miłość”) i „Army of Light” („Armia światłości”). W Holandii bestsellerem stała się jego książka „Moeder ik klaag u aan!” („Matko Kościele: Oskarżam cię!”). Herman Hegger zmarł w 2012 roku.



Po lewej stronie widnieje tytuł holenderskiej publikacji „De Biecht in bijbels licht” („Spowiedź w świetle Biblii”) autorstwa Hermana Heggera.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.